

Andrzej Horubała o "Milczeniu": Inspirujące fiasko Martina Scorsese

Co może znaczyć los księdza wyrzekającego się publicznie wiary, współpracującego z prześladowcami, pomagającego im tropić chrześcijan? Nowa chrześcijańska adaptacja ketmana?



Porównanie najnowszego dzieła Martina Scorsese z filmem „Misja” sprzed 30 lat bezwzględnie obnaża największą słabość „Milczenia” – brak duchowej siły i wyrazistości. Dzieło Scorsese to rozwlekła, pokrętna w warstwie duchowej, miejscami nudna wręcz opowieść pozbawiona mocnego przekazu. Bohaterowie, choć ich udziałem są doświadczenia ekstremalne, nie są w stanie zhipnotyzować widza tak, jak czynili to trzy dekady temu Irons i De Niro – pisze Andrzej Horubała w recenzji filmu „Milczenie” opublikowanej na łamach „Do Rzeczy”

Zdawałoby się, to nie mogło się nie udać

Martin Scorsese, reżyser od początku artystycznej kariery spektakularnie mocujący się z katolicką formacją, którą otrzymał w dzieciństwie, zrozpaczony, bluźniący, ale na trwałe naznaczony naszą religią, na końcu drogi pragnący ukojenia, zmierzający do pojednania.

I dwóch gorących aktorów, którzy przed wejściem na ekrany „Milczenia” dali pokaz swego magnetycznego talentu.

Andrew Garfield z subtelnym, jakby zakłopotanym uśmiechem w hollywoodzkiej balladzie o ludzkim nonkonformizmie i mocy przekonań, jaką prowadzony przez szalonego Mela Gibsona stworzył w „Przełęcz ocalonych”. Oraz Adam Driver, który w pastelowym „Patersonie” niósł na sobie ciężar opowieści Jima Jarmusha o sztuce przemieniającej nasze szare codzienne życie.

A do tego, niczym most łączący wielkie religijne freski – Liam Neeson, który oprócz ról w kinie komercyjnym, miał swój znaczący udział w filmie „Misja” jako ksiądz jezuita, towarzyszący duetowi De Niro – Jeremy Irons we wstrząsającej opowieści o redukcjach paragwajskich. I tu, i tam jezuita, i tu i tam, wielki temat zderzenia odmiennych kultur, pytania o przemoc i męczeństwo.

Bez mocy

Podobieństw między filmem Rolanda Joffé a ekranizacją powieści Shūsaku Endō „Milczenie” jest zresztą więcej. W obu obrazach okrutna egzotyczna natura stanowiąca nie tylko tło, scenę, lecz także metaforyczny duchowy krajobraz rozgrywanych akcji. W „Misji” przeciążenia duchowe, walkę wewnętrzną, mocowanie się ze swoimi namiętnościami, ujarzmianie instynktów zestawiono z przedzieraniem się przez dżunglę, z mozolną wspinaczką po skałach, próbami wypatrzenia wroga w zielonej otchłani. W „Milczeniu” monumentalna, milcząca, bezwzględna przyroda kierowała myśl ku wyobrażeniom Boga – obojętnego – zdawałoby się – wobec cierpień jego wyznawców. Obca, nieprzyjazna, wyniszczająca.

Wreszcie i w „Misji”, i w „Milczeniu” reżyserzy, nie zaniedbując ról drugoplanowych, postawili na duet znakomitych aktorów.

Porównanie najnowszego dzieła Martina Scorsese z filmem sprzed 30 lat bezwzględnie obnaża jednak największą słabość „Milczenia” – brak duchowej siły i wyrazistości. Dzieło Scorsese to bowiem rozwlekła, pokrętna w warstwie duchowej, miejscami nudna wręcz opowieść pozbawiona mocnego przekazu. Bohaterowie, choć ich udziałem są doświadczenia ekstremalne, nie są w stanie zahipnotyzować widza tak, jak czynili to trzy dekady temu Irons i De Niro. Porażające obrazy wyrafinowanych kaźni: krzyżowanie w morzu, polewanie wrzątkiem, nacinanie ciał, obcinanie głów – to wszystko jednak przytłumione zostaje jakimś mętnym przekazem, który stara się wpisać Scorsese w opowieść o martyrologii japońskiego Kościoła, jakby świadomie redukując mistyczny wymiar męczeństwa.

I gdy wieloznaczna mimo wszystko „Misja” pozostawiała widza w stanie jakiegoś oszołomienia, poruszenia, wzniosłości, koniec „Milczenia” pozornie domykając wzruszającym akordem ponad dwuipółgodzinny obraz, w żaden sposób nie może się mierzyć z patetyczną sceną śmierci obu protagonistów z amazońskiej dżungli: padającego z monstrancją Jeremy’ego Ironsa i obserwującego rzeź śmiertelnie ранego De Niro. Pogodzeni w klęsce męczennicy wierni prowadzonej przez siebie wspólnocie. I przecież gest, gdy Irons odmawia błogosławieństwa przed bitwą, lecz ofiarowuje swemu współbratu własny krzyżyk, wybrzmiewa czyściej niż wzruszający, ale bałamutny zabieg z krzyżykiem, jakim stara się spuentować swą opowieść Scorsese.

Zgoda, „Misja” to kino popularne. Ale co, „Milczenie” mniej popularne, bo nudne?

Szukając znaczeń

Można powiedzieć, że 74-letniemu reżyserowi nie starczyło już kunsztu, by oddać dzieło spójne i konsekwentne, ale przecież nie chodzi tylko o środki artystycznego wyrazu i sposób prowadzenia aktorów, nie tylko o warstwę muzyczną niedorównującą zniewalającej muzyce Ennio Morricone z „Misji”, lecz także duchowe przesłanie, jakie niesie ekranizowana opowieść Endō.

Z kina wychodzimy więc w stanie mocnego pomieszania, narzucając na film coraz to inne interpretacyjne siatki.

Czym bowiem ma być opowieść o wyprawie dwóch portugalskich jezuitów do ogarniętej szaleńcami religijnymi prześladowań Japonii w poszukiwaniu swego dawnego mistrza i nauczyciela, który – jak wieść niesie – dokonał aktu apostazji, wyrzekł się wiary i stał się sługą szoguna? Odbitką „Jądra ciemności”, wyprawą ku czarnemu sercu człowieczeństwa?

Co może znaczyć los księdza wyrzekającego się publicznie wiary, współpracującego z prześladowcami, pomagającego im tropić chrześcijan? Nowa chrześcijańska adaptacja ketmana?

Jak odczytywać opowieść o fiasku misji i wyparciu chrześcijaństwa z Japonii?

„Milczenie”, choć opakowane jako rzecz z mocnym przekazem duchowym, okraszone wieloma biblijnymi cytatami i aluzjami, prezentowane w Watykanie, opatrzone przez Scorsese jezuickim mottem „Ad maiorem Dei gloriam” i dedykacją dla misjonarzy w Japonii, epatujące zwierzeniami aktorów, jakim to wielkim wewnętrznym przeżyciem była dla nich gra z tym filmie, jest niestety opowieścią pełną nieczystych dźwięków, mało klarownym, pozbawionym katharsis rozwleczonym snujem. Świetnym jako materiał do dyskusji, ale jako dzieło artystyczne – chromym.

Jakże mogłoby być inaczej, skoro już książka Shūsaku Endō, choć głębsza w opisach życia wewnętrznego bohatera, pełna była duchowego fałszu, który w pełni objawiał się w finale powieści, gdy pisarz,

nazywając swą postawę „nieco protestancką”, w odautorskim komentarzu solidaryzował się z księżmi, którzy publicznie zaparli się własnej religii, przeszli na stronę prześladowców, by swą wierność Chrystusowi pielęgnować w ukryciu przed światem, spełniając podłe dość uczynki.

Autoportret czy diagnoza współczesnego świata

Czym więc miałyby być ta opowieść o księżach apostatach, którzy zwątpiwszy w swą misję, wyrzekają się publicznie wiary, depczą wizerunek Zbawcy, chcą jednak umierać z jego imieniem na ustach?

Może diagnozą, jaką Scorsese stawia współczesnemu światu, który choć wyparł się Ukrzyżowanego i na co dzień postponuje Jego święte oblicze, to gdzieś tam wewnątrz jest chrześcijański i marzy o komunii z Bogiem? Obrazem człowieka Zachodu, który choć zdradza, chce umierać, ściskając krzyżyk w dłoni? A może opowieścią autobiograficzną, którą wielki reżyser żegna się ze światem, przyznając w ostatnim momencie do wiary?

W materiałach promocyjnych możemy zobaczyć, jak Scorsese odnosi do siebie doświadczenie bohaterów filmu, że „należy stracić wiarę, aby wiarę odzyskać”. Tylko że tu trudno jest serio mówić o jakimś odzyskaniu wiary, chyba że tym aktem miałyby być uprawianie jakiegoś chrześcijaństwa bezobjawowego. Że niby co? Symbole, kult, kultura nie mają żadnego znaczenia, bo to puste słowa, gesty, znaki, a najważniejsze jest to co skryte w sercu? Oczywiście zalewając to jakąś liryką mącącać znaczenie słów, odwołując się do uczuć, można coś

takiego wykreować. Zagada się wtedy Chrystusową przestrogę, że kto się wyprze mnie przed ludźmi..., rozmyje się w ogóle fundament naszej kultury, wkroczy na ścieżkę zaprzaństwa i zdrady.

Może zresztą jest to po trosze intencja Scorsese podążającego za japońskim pisarzem. Po bluźnierczym i dość głupawym „Ostatnim kuszeniu Chrystusa” (1988), heretyckim przecież nie tylko w scenach tytułowego „kuszenia”, które nasi postępowi katolicy uznają za ciekawą pomoc duszpasterską, i serii mniej lub bardziej udanych filmów komercyjnych reżyserowi zamarzyło się dzieło podsumowujące jego duchowe mocowanie się z chrześcijaństwem.

Sugeruje więc sędziwy twórca, że podobny jest księżom, którzy obserwując fiasko swych zmagania misyjnych, widząc, że owocem ich działalności, skutkiem nawróceń jest tylko cierpienie i śmierć, dostrzegając daremność swych starań, przechodzą na stronę wroga, poddają się, pogrążają w rozpacz, choć zachowują we wnętrzu znaczące „coś”.

Bóg milczy wobec okrucieństw, wobec męczeństwa swych wyznawców, a człowiek staje przed wyborem: porzucić wiarę, zaprzeczyć się Chrystusa i zmniejszyć cierpienie na świecie, czy też trwać w beznadziejnym uporze i kultywować złudzenia.

Scorsese podobnie jak w „Ostatnim kuszeniu Chrystusa” i tu chętnie idzie za pokusą. Ba, zgodnie z powieścią, pokusie owej przydaje jeszcze sankcji religijnej, boskiej, sugerując, że Chrystus zaparłby się wiary

(W samego siebie? W religię którą tworzył?), jeśli to uratowało życie ziomków.

Zdrada staje się więc gestem dojrzałości człowieka.

Jak zawsze Judasz superstar

Nic dziwnego, że postacią, która nagle objawia się jako bohater ludzkości, jest Judasz. Bo przecież – przekonuje nas Scorsese, który fascynował się nim nie tylko w „Kuszeniu”, ale także w fenomenalnych „Chłopcach z ferajny” – Judasze i judaszki to w gruncie rzeczy – my. Słabi, upadający na co dzień, zapierający się Boga. Apoteoza Judasza jest więc gestem solidarności wobec człowieka. Człowieka prawdziwego, niewydumanego przez teologów i filozofów, tylko realnego, słabego, a często w dodatku jeszcze będącego igraszką w ręku Boga.

I tak na emblematycznego herosa wyrasta w filmie nikczemny Kichijiro (w tej roli, jednej z najciekawszych, Yôsuke Kubozuka), który po wielokroć wydaje swych ziomków w ręce buddyjskich siepaczy, zdradza, opluwa święte wizerunki, tłumi rozpacz w alkoholu, ale zafascynowany wciąż kręci się obok niezłomnego księdza, jęczy o spowiedź, wyznaje żal za grzechy, by znów zdradzić podle. Złakniony wiary, wybaczenia, świadom swej słabości, wciąż upadający na nowo – miałby być wzorem współczesnego człowieka? Człowieka uniwersalnego?

Odczuwający wobec niego wyższość moralną ksiądz, z pogardą i niechęcią udzielający mu rozgrzeszenia, zyska srogą nauczkę, gdy na końcu drogi okaże się taki sam jak on – ten kundel gardzący sobą i odtrącany przez wspólnotę.

Czy więc Scorsese, ten niedoszły ksiądz, opowiadając o sobie, szukając usprawiedliwienia dla swej apostazji, zdrady, stawia nam też przed oczyma lustro?

Dziwnie jednak diagnoza miesza się tu z pochwałą. W momencie zaparcia się Boga w tle słyszemy pianie koguta, ale przecież kapłan-apostata nie jest Piotrem, który za chwilę gorzko zapłacze, a później wejdzie na drogę męczeństwa, lecz Judaszem, przekonującym siebie, że zdradzając Niewinnego, wypełnia wolę Najwyższego.

Klęska ewangelizacji

Można na „Milczenie” spojrzeć także jako na opowieść o klęsce misji katolicyzmu. O niemożności rozpowszechniania wiary, o Japonii nienawracalnej, o ograniczonej sile chrześcijaństwa, które nie jest w stanie podbić świata i nie jest religią uniwersalną. Taki trop, bliski obecnym trendom w Kościele katolickim, chętnie w imię dialogu międzyreligijnego kapitulującym wobec innowierców, z księży-apostatów czyniłoby pokutników, którzy cierpią z powodu fatalnego błędu chrześcijan biorących na serio słowa rozesłania uczniów: „Idźcie na cały świat...”. Opowieść o Japonii jako bagnie, na którym nie może wzrosnąć chrześcijańska roślina, zakwestionowanie sukcesów

działającego dwa wieki wcześniej Franciszka Ksawerego, które były oparte na złudzeniach – to wszystko diagnozy, z którymi o choczko zgodziliby się na pewno uczestnicy imprez takich jak międzywyznaniowe zgromadzenia w Asyżu.

Ale przecież opowiadając o dziejach chrześcijaństwa w Japonii, błędząc i bałamucąc, Scorsese stawia pytania serio: nie tylko w wątku księdza przygotowującego się do męczeństwa, przeżywającego swe Getsemani i balansującego między pychą utożsamienia się z Chrystusem a pokorą w pełnieniu Jego woli, nie tylko w rzadko obecnej w kinie współczesnym próbie ukazania duchowości chrześcijanina żyjącego Pismem, lecz także w postawieniu problemu męczeństwa jako ostatecznej próby wiary.

Może być „Milczenie” odczytywane więc jako przygotowanie chrześcijan żyjących w zachodnim wygodnym świecie na próbę bezpośredniego świadectwa, gdy bez światłocieni, aluzji, zapytani będziemy o naszą wiarę. I nie chodzi tylko o konfrontację ze światem liberalnej demokracji hołdującej politycznej poprawności. Ścięta mieczem spadająca na ziemię głowa japońskiego chłopca, przywołując sceny z przekazów agencyjnych i internetowych filmików, pokazuje, że kwestia męczeństwa, traktowanego dosłownie, może za sprawą ekspansywnego islamu już wkrótce stać się problemem każdego z nas.

Notka

Pisałem kiedyś o tym: w moim parafialnym kościele księży jezuitów przy Rakowieckiej, dawno temu w latach siedemdziesiątych, gdy nie wybudowano jeszcze nowego gmachu, przy schodach od strony działek wisiała tablica, na której na przebitkach zawieszano wystukane na maszynie recenzje filmów, goszczących na ekranach warszawskich kin. W lakonicznej formie zdawano sprawę z niebezpieczeństw duchowych i przekroczeń, ale też starano się wydobyć aspekty duchowe i budujące z omawianych obrazów. Co napisano by o „Milczeniu”? Że film dla wyrobionego odbiorcy (była taka kategoria), skłonić powinien do dyskusji i do lektur, które rozwijałyby poruszaną w filmie problematykę. Poza powieścią stanowiącą podstawę filmu, warto – pisałby obsługujący tablicę ksiądz – w sprawie milczenia Boga sięgnąć do dzieł Matki Teresy, „świętej od ciemności”, w sprawie fenomenu męczeństwa potraktowanego przez reżysera zbyt zdawkowo jednak do książki Dariusza Karłowicza „Arcyparadoks śmierci”.

Na „Milczenie” iść na pewno warto. Rzadko w kinie oglądać można filmy tak bezpośrednio dotyczące spraw wiary, duchowości, Kościoła. Inna sprawa, że trudno zostawić ten film bez komentarza.

Andrzej Horubała

Fot. Materiały promocyjne

Tekst ukazał się w tygodniku „Do Rzeczy”. Publikujemy go za uprzejmą zgodą Autora.